

Danuta Mostwin

Rodzina przeszczepiona z perspektywy trzydziestu lat

Archiwum Emigracji : studia, szkice, dokumenty 2, 7-22

1999

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

STUDIA

RODZINA PRZESZCZEPIONA¹ Z PERSPEKTYWY TRZYDZIESTU LAT

Danuta MOSTWIN (USA)

Od zakończenia II wojny światowej do 31 grudnia 1968 roku, 140 000 obywateli polskich emigrowało do Stanów Zjednoczonych. Wśród nich 20 000 jeńców wojennych, 20 000 żołnierzy polskich z Wielkiej Brytanii, 25 000 rodzin żołnierzy, 35 000 *Displaced Persons* z Niemiec i 40 000 emigracji wprost z Polski.

Ta cyfra, 140 000, była moją podstawą do badań ankietowych. Wypełnione ankiety, które otrzymałam od respondentów to — Rodzina Przeszczepiona. Jej nazwa angielska — *Transplanted Family*.

Nazwę polską zawdzięczam profesorowi Tymonowi Terleckiemu, który wprowadzając mnie na wieczorze w Chicago wiele lat temu, przetłumaczył *ad hoc*, *transplanted* na przeszczepioną.

Pod koniec XX stulecia minie 30 lat od chwili rozpoczęcia pracy badawczej nad Rodziną Przeszczepioną. Było to zamierzenie na szeroką skalę i niepowtarzalne. Przyniosło nie tylko informacje, które stworzyły profil rodziny polskich emigrantów do Stanów Zjednoczonych po II wojnie światowej, ale zastosowało nowe wówczas pojęcia, tożsamości i tożsamości etnicznej, do mierzenia zmian w psychice emigranta spowodowanych kryzysem oderwania od rodzimej kultury i problemami dostosowania się do nowych warunków.

Wzrastające obecnie zainteresowanie tożsamością etniczną, wtedy, (w latach sześćdziesiątych), przeżywało swój debiut. Książki Eriksona, a specjalnie, *Identity, youth and*

¹ *The Transplanted Family, A Study of Social Adjustment of The Polish Immigrant Family to the United States After the Second World War. (A Dissertation submitted to the Columbia University School of Social Work, 1971) New York, Arno Press, 1980. Zob. też: D. Mostwin, The Profile of Transplanted Family, The Polish Review 1974, vol. XIX, nr 1, s. 77–89; D. Mostwin, Post-World War II Polish Immigrants in the United States, The Polish American Studies 1969, vol. XXVI, nr 2, s. 5–14.*

crisis (1968) cieszyły się ogromną popularnością na kampusach uniwersyteckich. Stało się to jakby z dnia na dzień, a przecież musiało narastać stopniowo. Pamiętam, że w rozmowach studenckich zaczęło się coraz częściej powtarzać zagadnienie kryzysu tożsamości etnicznej. Nie łączono go z etnicznością. Etniczność należała się raczej grupom mniejszościowym, klasie robotniczej, emigrantom, którzy do Ameryki przyjechali pod pokładami okrętów. Emigracji za chlebem.

W okresie eriksonowskim tożsamość etniczna odnosiła się do symbolicznych korzeni czerpiących z głębokich źródeł dziedzictwa. Kryzys wynikał z uświadomienia sobie braku korzeni lub niemożności ich odnalezienia.

Rodzina Przeszczepiona reprezentowała emigranta, który chociaż wywodził się z Europy Wschodniej, różnił się znacznie i pod wieloma względami od swoich poprzedników. Pomimo to do oceny potrzeb, zachowania się i pracy tego nowego, nieznanego emigranta, używano stereotypów, ustalonych wzorów postępowania sięgających zeszłego stulecia.

W pracy nad *Transplanted Family* starałam się uchwycić te zmiany psychiczne, które były rezultatem wielkiej traumy: oderwania od rodzimej kultury. Ten gwałtowny wstrząs powodował u wielu sytuacji kryzysowe zagrażające równowadze emocjonalnej emigranta i jego rodziny. Badania nad tożsamością etniczną nie zakończyły się na Rodzinie Przeszczepionej. Kontynuowałam ten temat w dalszych sześciu badaniach emigrantów (1976, 1977, 1978, 1984, 1987 i 1994). Prace te doprowadziły do wyłonienia nowej wiedzy o procesie zachodzącym w psychice człowieka wykorzenionego (*Trzecia wartość*, KUL, 1995).

Współczesny emigrant polski jest człowiekiem nowym. Nie jest to już ani polski emigrant z przelomu stulecia, bohater opowiadań Sienkiewicza, ani *Displaced person* z lat pięćdziesiątych, ani Solidarnościowiec z badania w roku 1984.

Najnowszy emigrant, przeważnie drugie lub trzecie pokolenie wywodzące się ze wsi, chętnie i szybko zadamawia się w tożsamości *Polish American*. Aby zrozumieć dlaczego tak się dzieje, a jest to według mnie zwrot pozytywny, należałoby zanalizować nową sytuację, w której znalazł się polski emigrant w latach dziewięćdziesiątych.

Nie próbując nawet analizować tej sytuacji, zaznaczę tylko moje ogólnikowe spostrzeżenia. Najnowszy emigrant to przeważnie drugie lub trzecie pokolenie wiejskie. Jest to emigracja zorganizowana, przygotowana, aby na miejscu, w Ameryce, tworzyć małe społeczne wysepki z tendencją ku samowystarczalności. Takie niewielkie jednostki łączą się razem tworząc polską dzielnicę. Handel i rzemiosło są tu w rękach Polaków. Zainteresowani amerykańską polityką (czego nie było u wcześniejszych polskich emigrantów) starają się wpłynąć na legislaturę, aby ulepszyć warunki mieszkalne swojej dzielnicy (np. Greenpoint w Nowym Jorku).

Powróćmy do Rodziny Przeszczepionej. Została w pamięci wielu jako nadzwyczajny zryw, wyczyn społeczny emigracji, która podała sobie rękę w wspólnym wysiłku zadookumentowania swojej obecności.

Dokumentem tym jest książka, teza doktorska Uniwersytetu Columbia, opublikowana w roku 1980 (Arno Press, New York). Informacje w niej zawarte dotyczą emigracji polskiej po II wojnie światowej i odpowiadają na następujące pytania:

1. Kim jest powojenny emigrant polski w Ameryce?
2. Jaki zajął status społeczny?
3. Jakimi drogami dotarł do Ameryki?
4. Jak przekazuje tradycje polskie dzieciom?
5. Czy lojalność jego do Ameryki wyklucza jego lojalność i przywiązanie do Polski?
6. Czy możliwa jest podwójna tożsamość i podwójna lojalność?

JAK TO SIĘ ZACZEŁO?

W styczniu 1970, 8700 kwestionariuszy ośmiostronicowych, dużego formatu, z 68 pytaniami ruszyło pod wybrane adresy w 35 stanach Ameryki. Na pierwszej stronie ankiety umieściłam wezwanie o pomoc w wypełnianiu i odsyłaniu kwestionariuszy kończącej się następującym apelem: Jest to apel o napisanie prawdy o powojennej fali Polaków w Stanach Zjednoczonych, a tym samym o podniesieniu opinii o Polakach w Ameryce. To ostatnie, opinia o Polakach w Ameryce, nie przestaje być punktem newralgicznym w stosunkach *Polish-Americans* z amerykańskim otoczeniem. Jest to problem aktualny wypowiediany coraz odważniej i inaczej.

Miałam wrażenie słuchając dyskusji wynikłej po niedawnej mojej prelekcji, dyskusji w której zabierali głos młodzi, wysoko wykształceni emigranci i osoby pochodzenia polskiego, że reakcja na *polish jokes* i stereotyp Polaka jako ograniczonego ciemniaka, ulega zmianie. Nie jest to już wybuch emocjonalny. Jest to nowa forma reakcji dążąca w kierunku wyjaśnień, informująca i domagająca się prawdy. Bo ten, który na obrazę reaguje, to już nie wystraszony emigrant ukrywający się przed ośmieszeniem tylko dlatego, że jest Polakiem, ani też upokorzony, wstydzący się swego pochodzenia obywatel USA drugiej kategorii. To reaguje obywatel amerykański polskiego pochodzenia, obrażony i zdecydowany odważnie i rozsądnie bronić swojej godności. Swego honoru. Tak, honoru. Odwieczna polska wartość znów daje znać o sobie. Bez szabli, ostrogi, bez rzucania rękawicy stała się poczuciem osobistej godności, której broni nie tylko samotny rycerz, ale i prawo kraju, którego jest obywatelem.

Studium Rodziny Przeszczepionej wiele zawdzięcza polskim i polsko-amerykańskim instytucjom i organizacjom. Współpracowały ze mną Fundacja Kościuszkowska, Stowarzyszenie Polskich Kombatantów, Stowarzyszenie Byłych Więźniów Politycznych, stacje radiowe, prasa polskojęzyczna w Ameryce, Francji i Anglii, Polski Instytut Naukowy w Ameryce, polskie parafie i księża. Specjalnie pomocny był redaktor „Kultury” Jerzy Giedroyc użyczając wiele miejsca na łamach swego pisma dla informowania o badaniu.

Z 8700 rozesłanych ankiet, 2049 wróciło wypełnione na moje ręce. Otrzymałam 360 listów, które zanalizowałam i jako dodatkowy dokument włączyłam do tezy. Jak na studium emigrantów, były to cyfry oszałamiające.

Po prawie 30 latach narosły nowe pokolenia. Napłynęły nowe fale emigracji. Ci młodzi niewiele wiedzą o problemach rodziny przeszczepionej. A przecież trzeba by się zatrzymać, spojrzeć wstecz i powiedzieć jak wyglądały sprawy zakulisowe? Komu, jakim układom zawdzięczamy to badanie? Dlaczego było tak ważne? Dlaczego 2049 odpowiedzi? Doświadczony *researcher* wie, iż wystarczy ich dużo mniej aby zatwierdzić badanie. Dlaczego po doskonałej pracy Thomasa i Znanieckiego tak długie milczenie o polskich emigrantach i dopiero teraz Rodzina Przeszczepiona? Wiele pozornie nie związanych z sobą przyczyn złożyłoby się na odpowiedź. Postaram się, chociaż częściowo, nie trzymając się chronologii, opowiedzieć historię Rodziny Przeszczepionej tak, jak ją widzę teraz, z perspektywy 30 lat.

ROK 1969, NOWY JORK

Na Uniwersytecie Columbia, w Szkole Social Work przygotowuję projekt mojej pracy doktorskiej. W tym czasie miałam już poza sobą 13 lat doświadczenia we wszystkich działach opieki społecznej, magisterium uzyskane na Uniwersytecie Katolickim w Waszyngtonie, pozycję dyrektora prywatnej agencji specjalizującej się w adopcjach, i dwa lata doktorskich studiów na Columbii. Z gotowym zarysem pracy zwróciłam się do dziekana studiów doktorskich z prośbą o jej zatwierdzenie.

Prof. Alfred Kahn, doskonały wykładowca, przyjął mnie gratulując ostatnich egzaminów i zapytał o temat pracy.

Tematem mojej pracy — powiedziałam — jest rodzina przeszczepiona, a dokładniej, „Przystosowanie się rodziny polskich emigrantów po II wojnie światowej do nowych warunków w Ameryce”.

Zadrżałam nagle. Twarz dziekana z zaciekawionej i uprzejmej znieruchomiała w nieprzystępną.

Czy coś źle zrobiłam?

Uśmiechnął się z przymusem. Podałam mu *outline*, którą prędko przeczytał i oddał mi.

Proszę pani — powiedział — ja tej pracy nie mogę zatwierdzić.

Dlaczego? Co się stało?

Proszę, niech pani siada. Nic pani złego nie zrobiła. Niech się pani tak nie denerwuje. Tu chodzi o sprawę emigrantów. Jest od dawna zamknięta. Zakończona. Proponuje pani ankietę. Nikt pani na tę ankietę nie odpowie. Mamy z tym doświadczenie. I gdzie będzie pani szukała tych emigrantów? Oni nie chcą, żeby ich znaleźć... Niech pani sobie weźmie inny temat. Przeszłość młodzieżowa. Albo adopcja. Pani jest w tym expertem. Dostanie pani grant. Każda agencja przyjmie panią z otwartymi ramionami.

Ale panie profesorze, ja mam zupełnie inne informacje — broniłam się — emigranci odpowiedzą, trzeba tylko odpowiednio do nich podejść. Wstał.

Nie. Niestety tego tematu nie mogę zatwierdzić. Strata czasu dla pani i dla Szkoły.

Wyszłam ze spotkania z dziekanem roztrzęsiona. Powstrzymywałam łzy. Poczulałam się odrzucona. Zrozumiałam po raz pierwszy w Ameryce, że do końca życia w tym pięknym kraju pozostanę inna. Naturalne pragnienie przynależności, potrzeba korzeni nie spełnia się dla emigranta. Raz wyrwany, pozostaje asteroidą. Nie należący ani tu, ani tam, sto mil od brzegu i sto mil przed brzegiem, sam stwarza siebie i swój świat. Sam, w uporczywym zmaganiu się z sobą, jak jedwabnik wysnuwa z siebie swoją jedyną trzecią wartość. To nie było tylko odrzucenie tematu. To ja w najwrażliwszej sferze mojej osobowości poczułam się odrzucona. Zrozumiałam, że w wyborze tematu kierowała mną nie tylko naukowa ciekawość, ale pasja utrwalenia losów powojennego pokolenia emigrantów. Mojego pokolenia.

LONDYN, 1945

Tę pasję utrwalania, zatrzymywania odczułam po raz pierwszy w lipcu 1945 roku, w Londynie, kiedy Wielka Brytania i Stany Zjednoczone cofnęły uznanie rządowi polskiemu na emigracji. Tysiące polskich żołnierzy z utraconych ziem wschodnich nie miało możliwości powrotu do domu. Domu nie było. Pamiętam tę rozpacz. Tragiczny obraz rozpadającej się Polskiej Armii. Długie, nocne rozmowy, w których powtarza się te same argumenty: wracać? nie wracać? Przysłuchuję się. Chłonę obrazy. Dochodzą do mnie szeptem przekazywane wieści: zastrzelił się, otrul się gazem, zabrał go ambulans. Ginęła żywa tkanka narodu. Kim byli, jacy byli, jaki był ich dzień powszedni? Niezapisane, nieutrwalone, albo spisane wiele lat później straci ważność kroniki. Widziałam ogromną potrzebę pisania na gorąco. Ale nie byłam jeszcze gotowa. Z tego okresu powstała jedna niewielka powieść — *Dom starej lady*². Po latach ma wartość dokumentu. Większość pisarzy polskich wspominała niedawną, okrutną przeszłość: obozy, łagry, wspomnienia bitew, albo wracała do łagodzących krajobrazów ich młodości. Codzienne życie przepływało obok.

² D. Mostwin, *Dom starej lady*. Londyn 1958.

BALTIMORE, NAD ZATOKĄ, 1958

Po trzynastu latach to samo odczucie i pasja ratowania przepływającej historii. Ale nie byli to już zdemobilizowani żołnierze, tylko emigranci zabiedzeni, starzy i samotni. Wystraszeni, schorowani ludzie. Wielu z nich nigdy nie nauczyło się mówić po angielsku. Odwiedzałam ich, moich podopiecznych, w dzielnicy polskiej nad zatoką. Z tego okresu zachowały się notatki włączone później do zbioru opowiadań *Asteroidy*³.

„Dzielnica oddycha zatoką. Jej niekształtny tułów, obsliziła skorupa potwornego kraba zanurza się w czarnej, cuchnącej wodzie. Ulice — wąskie kręte macki — pelzają, ocierają się o siebie, podobne jedne do drugich, o nazwach dziwacznych, śmiesznych, nieodpowiednich...

Na parterach wąskich kamienic przez otwarte drzwi barów o każdej porze dnia widać mężczyzn w koszulach otwartych pod szyją, w kapeluszach zsuniętych na czoło, z lokciami opartymi o ladę... Mieszkańcy dzielnicy są ludźmi, których przeszłość obrosła zapomnieniem, a przyszłość umarła... Jest to dzielnica cudzoziemców i część miasta, która nazywa się Polish Section.” (*Asteroidy*)

Nie ma już *Polish Section*. Odeszli ludzie, buldożery zniosły ich domy-rudery. Rozsypała się historia. Kilku z nich zostało w moich szkicach *Asteroidy*.

Czułam, że ten sam los zapomnienia, obojętnego przejścia obok może spotkać emigrantów po II wojnie światowej. Była to emigracja rodzinna, często trójpokoleniowa, z przewagą osób z Polski centralnej. Przypominała układ demograficzny Polski Dwudziestolecia. Chciałam ich w jakiś sposób utrwalić, zachować. Wydawało mi się, że praca doktorska oparta o fakty przekazane w ankiecie byłaby tym wymarzonym sposobem.

Spóźnione napływają refleksje:

Czy zarejestrowanie fali polskiej emigracji powojennej do Ameryki, którą, ze względu na charakter rodzinny emigracji nazwałam *Transplanted Family*, było w jakiś sposób ważne? Dla respondentów? Dla następnego pokolenia? Dla sytuacji emigrantów w Ameryce? Wtedy, gdy rozpoczynaliśmy zbieranie informacji w roku 1970, przeszłość historyczna miała dla emigrantów polskich wartość mitu, który nakładał obowiązek przekazania uznanych wartości następnemu pokoleniu. Wierzyliśmy, że tak trzeba, bo jeśli utracimy związek z przeszłością, zginiemy jako naród o odrębnej, bogatej kulturze. Inaczej myśli następne pokolenie (w kraju i na emigracji) odmawiając przyjęcia przekazu, bo przeszłość nie sprawdziła się. Nie przyniosła tego co w chwili obecnej było dla nich najważniejsze: poczucia bezpieczeństwa.

Dlatego też wielu wśród polskiego młodego pokolenia nie zgadza się z kultem przeszłości uważając go za zbyt arbitralny i w swojej skostniałej formie, nieużyteczny. Nie zważając na to, najstarsze pokolenie w przyśpieszonym tempie buduje pomniki, aby zdążyć przed nadchodzącym wiekiem XXI. Stary polski kult symboli wyladowuje się w tej gorączkowej akcji pomnikowej. Szanują tę akcję tak, jak szanują prawo głosu każdego człowieka. Nie jest to mój wybór. Wiem, że gdy wszystko ulegnie zniszczeniu, tylko słowo zostanie. Słowo — najtrwalszy pomnik ludzkiej myśli, świadek ludzkich dokonań. Dokonaniem było zmaganie się powojennej emigracji przeżywającej kryzys utraty ojczyzny z trudnościami przetrwania w nieznanym otoczeniu. Ta cicha walka z nostalgią, z ogarniającą depresją nie zawsze kończyła się zwycięstwem. Czy nie należy im się pomnik? Ale stawiać pomnik emigrantom? Za co? Czy za to, że przetrwali? Za to, że mieli odwagę zaczynać nowe życie, że umieli walczyć o swoje miejsce w nowym kraju, za to co Ameryka od nich dostała? A dostała bardzo wiele: wykształcenie i talenty, lojalność

³ D. Mostwin, *Asteroidy*. Londyn 1965.

najczystsą ze wszystkich grup etnicznych, i młode pokolenie, wychowane w tradycji rodzinnej. Dziwny pomnik, ale może właśnie taka, wykuta z kamienia grupa pracujących emigrantów powinna stanąć obok, albo zamiast gwiazdzistej statuy wolności. Prawda i rzeczywistość obok marzeń i pieśni o wolności.

ROK 1969, NOWY JORK

Powróćmy do mojej rozmowy z dziekanem. Wysłałam po tej rozmowie roztrzęsiona, wstrzymując łzy. Co robić? Do kogo udać się po radę? Ani przez chwilę nie pomyślałam o tym, aby zmienić temat tezy. Postanowiłam walczyć.

W Nowym Jorku mieszkało kilku wybitnych polskich naukowców. Niektórych znałam osobiście, innych z ich artykułów i książek. Umówiłam się na spotkania, telefonowałam, pisałam. Byli to doświadczeni, przyjaźnie nastawieni do mnie profesorowie uniwersytetów. Niestety, żaden z nich nie zachęcał mnie do badań emigrantów. Argumenty były podobne. To nie teraz — mówili — to jak pani napisze jakąś niewielką tezę i wtedy z dyplomem w kieszeni, można starać się o grant. Na emigrantów nikt nie da pieniędzy. Poza tym — mówili — to nie jest wdzięczny temat. Nie odpowiadają, nie kooperują. Tu, w tym wypadku powinna być praca całego zespołu. To nie dla pani. Szkoda pani czasu i talentu.

Wydawało mi się, że było coś w temacie polskiego emigranta czego nie mogli, nie chcieli, albo nie umieli mi przekazać. Zbliżał się ostateczny termin zgłaszania prac doktorskich. Byłam przygnębiona. A co gorsze, zaczynałam się wahać: po co ja się w to pcham? Tylko zaszkodzę sobie na uniwersytecie. Niech inni walczą, ja już nie mam sił. I może nigdy nie powstałaby *Transplanted Family* gdyby nie przypadek. A może zrzucenie losu? Było to krótkie spotkanie i rozmowa z prof. Lukoff. Musiało być jednak niezmiernie ważne, gdyż nie tylko treść rozmowy, ale i tło na którym się odbyła, przemawiają do mnie dwugłosem nie zmienionym przez czas.

Wtedy, pod koniec lat sześćdziesiątych, Szkoła Social Work nie mieściła się jeszcze na kampusie Columbii, ale w pięknym pałacyku na V Avenue. Ściany wykładane boazerią, rzeźbione sufity, wysokie okna, ogromne, ciężkie drzwi. Na podniszczonych już ścianach, posadzkach, parkietach pozostało jeszcze tchnienie dosytu bogatej, młodej, budującej się wtedy Ameryki, nie dotkniętej jeszcze blichтром nowoczesności. Prof. Irving Lukoff wydawał się bardziej niż inni wykładowcy zainteresowany problemami grup mniejszościowych. Profesorze Lukoff — zatrzymałam go — to ważne. Czy może mi pan pomóc? Przystanęliśmy w połowie szerokich, wijących się schodów prowadzących z rozległego halu na piętra, do sypialni z rzeźbionymi sufitami. W sypialniach Carnegie odbywały się teraz wykłady i seminaria dla studentów mojej szkoły. Trochę to przypominało scenę z „Doktora Żiwago” gdy doktor po powrocie z frontu wchodzi do domu rodzinnego. Tłok, bieganina po schodach, ludzie nie pasujący do otoczenia. Ale wtedy o tym nie myślałam.

Prof. Lukoff nie był nadzwyczajnym wykładowcą. Wykłady miał słabo zorganizowane, egzaminy zastraszająco trudne, z których cała klasa z wyjątkiem jednego geniusza, dostawała niedostatecznie, albo najwyżej C-. Był jednak przystępnym, sympatycznym człowiekiem i miał doskonałe, szybkie pomysły. Uśmiechnął się. Dostała pani B ze statystyki. Nie cieszy się pani? Bardzo. Tak. Ale to nie o to chodzi. Czy zna pan kogoś na uniwersytecie... Czy jest ktoś specjalizujący się w problemach emigrantów?

Emigranci? To pani jednak uparła się przy emigrantach. No a Margaret Mead? Przecież to jej dziedzina.

Tylko Margaret Mead. Niech pani do niej idzie. Ja? Do niej? Przecież ona mnie nie przyjmie. Przyjmie, czy nie przyjmie, warto spróbować — powiedział i nawet nie spostrzegłam kiedy mi uciekł.

ROK 1969, NOWY JORK, COLUMBIA, SEMESTR WIOSENNY

Profesor Margaret Mead, antropolog, była jedną z ówczesnych gwiazd Columbii, znaną z podróży na wyspy południowe i swego ostrego języka. Jej książki, a specjalnie te opisujące życie seksualne wśród prymitywnych szczepów wyspiarskich, miały duże powodzenie. Na kampusie Columbii była postacią dobrze znaną. Chodziła zawsze z grubym kosturem-laską, przypominającym gałąź egzotycznego drzewa. Prof. Mead zainteresowała się moim tematem. Była zycziwa, pomocna i przyjęła mnie nie tylko na swoje wykłady, ale i na kurs indywidualnych sesji tak zwanych *tutorials*. Pamiętam moje pierwsze z nią spotkanie. Jako dyrektor Museum of Natural History urzędowała w jego budynku. Dokładnie, w południowo-zachodniej wieży muzeum. Droga na wieżę prowadziła przez sale muzeum. Mijałam szklane gablotki i szafy gdzie prezentowały się różnej wielkości stwory z prahistorii ziemi. Wjechałam windą na ostatnie piętro. Dalej, tajemniczymi drzwiczkami przedostałam się do żelaznych, kręconych schodków. Mrocznie, ciasno, pachniało pleśnią i starymi, wilgotnymi foliałami. Była tu różnorodność wszystkiego: maski dzikich plemion, suszone rośliny, muszle, pakiety, pakieciki, słoiki, pudła i pudełka. Dr Mead uważała, że każda rzecz, każda istota ludzka, każda myśl ma swoją specjalną wartość, zastosowanie w dynamicznym układzie kosmosu. Zziębnięta wyostałam się na ostatni stopień wieży. Znalazłam się w gabinecie dyrektora. Na tle półek piętrzących się do sufitu, zapchanych książkami, maszynopisami i eksponatami z różnych wysp, zwrócona do mnie profilem, z rękami na klawiaturze maszyny, tak, jakby za chwilę miała uderzyć w klawisze, niewielka starsza pani w wieku około siedemdziesiątki siedziała nad czymś głęboko zamyślona. Wyczułam w niej intensywność i dogłębne zaangażowanie w pracę. Z zaufaniem, a jednocześnie nieśmiałością zbliżyłam się do niej. Poczulałam się w roli ucznia, który po bezowocnym szukaniu odnajduje w tajemniczej wieży długo poszukiwanego mistrza. Naokoło cisza. Atmosfera skupienia. Ruch uliczny tu nie dociera. Spojrzała na mnie penetrująco przez binokle: To pani chce badać powojenną polską emigrację?

Skinęłam głową. Podałam jej papiery. Przeczytała uważnie. Zastanawiała się.

Proszę pamiętać, że bierze sobie pani trudny projekt. Trudny, bo pani jest Polką, a musi pani pozostać neutralną.

Zdaję sobie z tego sprawę.

Nie pasuje mi pani do żadnej grupy Polaków, których dotąd znałam. Staram się jakoś panią umieścić.

Jest nas tu w Stanach kilkadziesiąt tysięcy. Dokładnie, grupa którą chcę zbadać liczy 140 000 osób, które emigrowały do Stanów w czasie od końca wojny do 31 grudnia 1968 roku.

Zdjęła ręce z klawiatury, odwróciła się do mnie twarzą i przez chwilę badała mnie wzrokiem. Tak widziana, wydała mi się dużo starsza, zmęczona, i w jakiś sposób w sobie zagłębiona. Powiedziała: Najważniejszym instrumentem w badaniu, które pani chce przeprowadzić jest kwestionariusz. Będzie go pani zmieniać i ulepszać bez końca. Ale przed tym trzeba przeprowadzić badanie próbne. *Pilot study*. Niech pani przeprowadzi wywiady z dwoma krańcowo różnymi osobami z tych 140 000. Proszę to wziąć na taśmę i przepisać na nasze następne spotkanie. Powinna pani przeczytać wszystko co zostało napisane o polskich emigrantach. Myśl jej pracowała w coraz to innym kierunku.

Ciekawe, że panią interesują losy tych 140 000. A my, mieliśmy tu zaraz po wojnie polską grupę bardzo wybitnych naukowców. Wymieniła nazwiska. Dwa z nich znalazł. Badali zależności pomiędzy kulturą i charakterem narodowym.

Proszę mi przynieść sprawozdania z zebrań polskiej sekcji — zwróciła się do sekretarki. Sekretarka milcząca, w wieku nieokreślonym, zdjęła z odległej półki dwa drewniane pudelka i teczki z papierami. Będzie to w mojej bibliotece do pani wglądu — powiedziała — ciekawa jestem jak pani na to zareaguje. Jeszcze jedno krótkie, ostre spojrzenie i znów ręce na klawiaturze. Znak, że sesja nasza skończona. Wracając krętymi schodami z odludnej ciszy wieży na głośnie ulicę miasta, powtarzałam sobie: Ona jest wspaniała. Wspaniała! To się dobrze, bardzo dobrze zaczyna.

HISTORIA KWESTIONARIUSZA

Pochłonięta pracą nad konstrukcją kwestionariusza, zafascynowana sesjami na wieży, nie zastanowiłam się, że koszt druku i wysyłki pocztowej kwestionariusza dawno przekroczył możliwości mego budżetu. Podania pisane do instytucji i organizacji polsko-amerykańskich wracały odmowne, albo pozostawiały moje listy bez odpowiedzi. Siedziałam teraz w dużym, słabo oświetlonym hału, w domu na ulicy 65, w Nowym Jorku i czekałam na spotkanie z vice-dyrektorem Fundacji Kościuszkowskiej, dr Eugene Kusielewiczem. Nie spodziewałam się wiele po tym spotkaniu. Wiedziałam jednak, że z każdej udanej lub nieudanej wizyty mogłam wysnuć nowe myśli, z innej perspektywy spojrzeć na moje badanie. Czekałam długo. Nie spostrzegłam, że dr Kusielewicz zeszedł ze schodów i stanął przede mną. Był wysoki, atletycznie zbudowany, bardzo młody i bardzo poważny. Widziałam, że był nieśmiały i pokrywał to surową miną, która przy pierwszym spotkaniu czyniła go nieprzystępnym. Usiadł na drugim końcu bardzo długiego stołu i słuchał cierpliwie mojej relacji o ważności badania polskiej emigracji niepodległościowej. Nie odzywał się aż do chwili kiedy powiedziałam:

Jednym z celów ankiety jest podniesienie opinii o Polakach w Ameryce. Wydaje mi się, że nas nie znają, oceniają na podstawie stereotypu polskiego chłopca-analfabety, który na początku tego wieku imigrował z zabiedzonych terenów pod okupacją, którego nikt nie bronił, ale którego naiwność nieraz nadużywano.

Imigrant taki, onieśmielony usuwał się zamiast zdobywać. Cofał się i chował w swojej etnicznej enklawie gdzie interesowały go tylko sprawy lokalne, a zainteresowanie i udział w sprawach polityczno-gospodarczych i społecznych Ameryki, pozostawiał innym. Tu urodzonym, mądrzejszym.

Eugene Kusielewicz podniósł głowę i twarz mu się zmieniła. Przez chwilę nie odzywał się, a kiedy przemówił głos jego zabrzmiał zupełnie inaczej. Usłyszałam w nim entuzjazm.

Czy pani wie — powiedział — że drugie pokolenie Polaków, pierwsze, które urodziło się w Stanach i zostało wykształcone w szkołach amerykańskich wstydi się swego polskiego pochodzenia? W szkole nigdy nie słyszeli o znaczeniu grupy polskiej w życiu amerykańskim. Inteligentna młodzież. Doszli do wniosku, że w dziedzictwie polskim nie ma nic ciekawego. Lepiej odsunąć się, nie przyznawać. Wielu zmienia nazwiska. A liderzy Polonii nie mogą w to uwierzyć. Nie mają odwagi spojrzeć prawdzie w oczy. Wystarczy przeczytać pracę dr Marie Gutowskiej z University of Massachusetts. Albo badania dr Richarda Kolma z Uniwersytetu Katolickiego w Waszyngtonie. To pani uniwersytet. Powinna pani znać profesora Kolma.

Znam, naturalnie. I bardzo cenię. Czytałam jego pracę *The Identity crisis of Polish Americans*.

Profesor Mierzwa — powiedział Kusielewicz — chciałby panią poznać. Czytaliśmy pani podanie i cała sprawa bardzo nas interesuje. To są tematy, które chcemy popierać. Wydrukujemy pani kwestionariusz i pomożemy w rozprawdaniu. Fundacja Kościuszkowska będzie stała za panią. To doda ważności badaniu.

Szerokimi, płaskimi schodami wchodziliśmy na piętro tego pięknego budynku, który Stefan Mierzwa uzyskał jako dar Amerykanów dla stworzenia Fundacji.

Był rok 1969. Trzy lata temu w Waszyngtonie słuchałam wykładu profesora Mierzwy. Doskonałą angielszczyzną opowiedział jak umiejąc trochę po polsku, nieco po ukraińsku, a nic po angielsku, wyemigrował ze swojej wsi w Rzeszowskiem do Ameryki. Zegarka nie miał, tylko breloczek od zegarka z podobizną Kościuszki o którym wiedział, że był to *a guy who risked out his neck when Americans were fighting*. Weszliśmy do gabinetu. Przy ogromnym biurku, zanurzony w książkach, niewielki człowiek o świdrującym spojrzeniu małych oczek. Była w nim chytra mądrość, której nie zdobył w Ameryce, ale jako podarunek na drogę ofiarowała mu wieś w Rzeszowskiem. Wyglądał zmęczony, słaby. Przyglądał mi się oceniająco. Przy pożegnaniu powiedział:

A jak by tam trzeba było więcej, to się znajdzie.

NOWOPRZYBYLI

Tak nas nazywali: nowoprzybyli. Czasami: nowi. Czasem: Dipisi. Nigdy: Polacy. Rzadko kiedy: imigranci. Nowoprzybyłymi zostaliśmy na lata. My mówiliśmy o sobie: Polacy. Czasem: emigranci. Nigdy: wygnańcy. Nigdy: uciekinierzy. W chwili przyjazdu do Stanów nasza znajomość sceny polonijnej równała się zeru. Jeśli zdawało nam się, że coś wiemy, nasza wiedza była bardzo niedoskonała. Po trzydziestu latach wiele się zmieniło. Spójrzmy jak wyglądała ta scena w czasie, gdy 140 000 obywateli polskich, przedmiot mego badania, emigrowało do Stanów Zjednoczonych⁴.

POLONIA AMERYKAŃSKA

Przypływają wielkimi falami do nowojorskiego portu. Znajdują się wśród nich ci, którzy w roku 1970 wypełnią ankietę *Transplanted Family*. Prawie 70% uważa się za emigrantów politycznych. W miarę zbliżania się do lądu, rośnie ich niepokój i nabiera znaczenia legendarna Polonia Amerykańska. Wielu łączy z nią nadzieje otrzymania pracy, mieszkania i wprowadzenia w życie nowego kraju. Ale nikt wśród tej grupy emigrantów płynących w nieznaną i niepewną nie wie co ukrywają dwa magiczne słowa: Polonia Amerykańska. Wydawało się, jakoby już sama nazwa była czarodziejskim kluczem otwierającym bramy do spokojnego życia, w atmosferze wolności. Nikt też nie zastanawiał się jak wygląda scena organizacyjna Polonii, scena na której już wkrótce oni sami w swojej nowej roli początkujących emigrantów będą musieli się poruszać.

W okresie od stycznia 1948, do grudnia 1952, najwyższa fala Rodziny Przeszczepionej, bo 48% całości, uderzyła o wybrzeże amerykańskie. Zaledwie połowa emigrantów

⁴ Zgodnie z oficjalnymi statystykami (*Memo to America: The DP story*) 1952, w dniu 31 grudnia, 1951 roku, w Stanach Zjednoczonych znajdowało się 154 556 osób (wśród 339 520 Displaced Persons) które otrzymały wizy do Ameryki powołując się na obywatelstwo polskie. Liczba ta nie zgadza się ze statystyką Związku Weteranów.

Ponieważ wśród DP powołujących się na obywatelstwo polskie, znajdował się duży odsetek mniejszości, wydaje się, że liczba 140 000 jest bardziej prawdopodobna. Te 140 000 jest moim punktem wyjściowym i całością (*population*) do której będą się odnosić informacje i wnioski otrzymane z próby badawczej (2049 wypełnionych kwestionariuszy), które odpowiednio manipulowane (według zasad *research*) przyniosą w rezultacie psycho-społeczny profil polskiej rodziny emigrującej do Stanów Zjednoczonych po II wojnie światowej.

mogła porozumieć się po angielsku. Ale przecież oczekiwała ich silna, zorganizowana, legendarna Polonia.

Przyjrzymy się ówczesnej Polonii Amerykańskiej, w której tak wielkie nadzieje pokładał powojenny emigrant. Wygasł już patriotyczny zapal hallerczyków. Nie udały się plany organizowania oddziałów polskich w Kanadzie. Ta apolityczność zmieniła się po przystąpieniu Ameryki do wojny. Utworzony w czerwcu 1942 Komitet Narodowy Amerykanów Polskiego Pochodzenia (KNAPP), założony przez najwcześniej przybyłych (1940) emigrantów politycznych, trzech byłych ministrów rządu polskiego: Wacława Jędrzejewicza, Henryka Rajchmana i Ignacego Matuszewskiego, podjął rolę głównego politycznego orędownika wolnej i niepodległej Polski.

Chociaż Polonia przed wybuchem wojny i na jej początku nie czuła zaangażowania w sprawy Polski, to jednak poruszeni konfliktem rządu polskiego emigracyjnego i rządu radzieckiego, a także wkroczeniem armii radzieckiej na ziemie polskie, Amerykanie polskiego pochodzenia pod kierownictwem Karola Rozmarka przywódcy ZNP (Związku Narodowego Polskiego) na zjeździe w Buffalo w maju 1944 powołują do życia ogólnokrajową organizację, Kongres Polonii Amerykańskiej. Najważniejszym jego zadaniem jest wywieranie nacisku na administrację Roosevelta w celu uwzględnienia interesów Polski⁵.

Chociaż przed wojną i na jej początku, Polonia nie czuła się zaangażowana w sprawy Polski, to jednak zagrożenie zniszczenia korzeni, atawistyczny lęk utraty mitów dziedzictwa, odświeżył łączność z Polską i wrażliwość na jej wołanie o ratunek.

Polonia Amerykańska, z którą spotka się płynący do swego przeznaczenia emigrant jest siatką organizacyjną w stanie organizowania się. Do czasu powstania Kongresu, był to konglomerat licznych stowarzyszeń, organizacji ubezpieczeniowych, kółek parafialnych, zrzeszeń głównie lokalnych, związków i zjednoczeń. W tym gąszczu trudnym do zorientowania się, nie było organizacji, która podjęłaby odpowiedzialność zbiorową za obywateli amerykańskich pochodzenia polskiego. Odpowiedzialność taka nie była jak dotąd potrzebna. Dopiero wypadki ostatniej wojny uświadomiły liderom Polonii, że scalenie wysiłków poszczególnych organizacji okazuje się w pewnych sytuacjach jedynym sposobem osiągnięcia zamierzonego celu. Zważywszy na łatwość Polaków w zakładaniu organizacji i na ogromne trudności w podporządkowaniu się organizacjom nadrzędnym, Kongres Polonii nie miał łatwego zadania. Pomimo to, działał skutecznie w pomocy emigrantom. Trudności z uzyskaniem pomocy wynikały, moim zdaniem, z braku informacji. Nikt nie poinformował emigranta gdzie i od kogo mógłby pomoc otrzymać. Śledząc losy następujących po sobie fal polskich emigrantów ostatniego trzydziestolecia, nieraz porównuję ich do losu *Transplanted Family*. Stwierdzam z satysfakcją, że wiele się nauczyli: i ci, którzy przyjmują pomoc (emigranci) i ci, którzy ją ofiarują (Polonia Amerykańska).

ROZPROWADZENIE I POWRÓT ANKIETY

W pierwszym tygodniu stycznia 1970, 8 700 kwestionariuszy ruszyło pod wybrane adresy w 35 stanach Ameryki. Kwestionariusz rozmieszczony na czterech kartkach (ośmiu stronach) zawierał 68 pytań. Skierowany do rodzin, miał osobne miejsca na odpowiedź żony i męża. Na pierwszej stronie zaznaczono *petitem* że druk ankiety umożliwiło Kościuszko Foundation.

⁵ W analizie scenarii polsko-amerykańskiej opierałam się o doskonale opracowanie Stanisława A. Blejwasa *Nowa i stara Polonia: napięcia w społeczności etnicznej*, [in:] *Polonia Amerykańska: Przeszłość i współczesność*. Polska Akademia Nauk, 1988. Całość książki omawiam w dalszym ciągu tego eseju.

Już w styczniu nadchodzić zaczęły wypełnione ankiety. Był to jeden z najciekawszych okresów mego życia. Otwierając sterty kopert z różnych zakątków Ameryki, wydawało mi się, że zostałam wciągnięta w jakąś dynamikę wzoru łączącego mnie z nieznaną siłą nakazującą akcję. Nakaz ten był jednocześnie potrzebą, która zaspokojona obniżała *anxiety*.

Bez wydatnej pomocy społeczeństwa polskiego w Ameryce żadna, na większą skalę akcja nie doszłaby do skutku. Czyż więc my wszyscy, których korzenie tkwią jeszcze mocno nad Wisłą, Wartą lub Bugiem uchwyteni jesteśmy siatką współzależności i nakazów kierowanych stamtąd na naszą półkulę?

Pomoc polskiego społeczeństwa w Stanach przy rozprawdzaniu ankiety okazała się spontaniczna. Nieraz, wzruszająca: dołączony do wypełnionej ankiety banknot jednodolarowy „na znaczki”, listy przynoszące historie życia, z których każda zasługiwałaby na książkę. Słowa zachęty. Błogosławieństwa. Oferty pomocy. W nieprzewidziany sposób *Transplanted Family* stworzyła serdeczny, intymny klimat pokrewieństwa.

“POLISH IMMIGRANTS TO U.S. SINCE WAR SOCIALLY HIGHER”

Pierwsze wyniki operacji komputerowych przedstawiłam w Bostonie, w grudniu 1970, na dorocznym zjeździe Polish-American Historical Association. Po wykładzie podszedł do mnie reporter z „Boston Herald”. Prosił, abym poszła z nim do redakcji pisma i przekazała mu dokładne wyniki badania Rodziny Przeszczepionej. Informacje, które podałam, a zwłaszcza te dotyczące wykształcenia emigranta w chwili przyjazdu do Stanów, zaskoczyły go.

Na drugi dzień, 28 grudnia, „Boston Herald” zamieścił tłustym drukiem tytuł artykułu. „Wśród powojennych emigrantów — podawał «Boston Herald» — 27% miało wykształcenie uniwersyteckie, 20% studia wyższe rozpoczęte, a 23% ukończyło gimnazjum. 50 lat temu wykształcenie emigrantów z polskiej wsi — donosiła gazeta — było na dużo niższym poziomie, a na przesunięcie się w górę po drabinie społecznej nie wystarczało jedno pokolenie.”

PRZESZŁOŚĆ I WSPÓŁCZESNOŚĆ POLONII AMERYKAŃSKIEJ

W okresie powojennym, w latach czterdziestych i pięćdziesiątych, „drugie i trzecie pokolenie emigracji ekonomicznej (starej Polonii)” zaczęło „przechodzić” do otaczającego ją systemu amerykańskiego. Byli to na zewnątrz 100% Amerykanie. Tylko w gronie rodzinnym, wśród swoich, na weselach i uroczystościach cieszyli się swym etnicznym dziedzictwem: pieśnią, ludowym tańcem, obrzędami przekazanymi młodym przez starszych, i lubili mówić między sobą językiem, w którym słowa polskie łączyły się z angielskimi, a angielskie ciągnęły za sobą polskie końcówki. Było to słownictwo swoiste, żargon emigrancki, urobiony przez wcześniejsze pokolenia. Skrótowy, użyteczny wtedy gdy jeszcze nie umieli mówić po angielsku, a polski, który najstarsze pokolenie przywiozło z sobą z rodzinnych wiosek, nie wystarczał.

Druga wojna światowa stworzyła nowe możliwości dla młodzieży polonijnej: służbę w amerykańskich siłach zbrojnych. A że przywilejem weteranów były darmowe studia w wybranym przez nich kierunku, synowie Polonii gremialnie korzystali z tych ułatwień. Po ukończeniu studiów, większość z nich szła do szkolnictwa. Uczyli na poziomie szkoły podstawowej. Później, jeden po drugim doksztalcali się i otrzymywali pozycje na uniwersytetach. W ten sposób zaczęła powstawać młoda inteligencja Polonii.

Nie wszyscy z nich zdawali sobie sprawę z sytuacji politycznej w jakiej znalazła się Polska po zakończeniu wojny. Niektórzy o przekonaniach lewicowych, od początku kooperowali z reżymem zamykając oczy na tragiczną sytuację Narodu.

Wymiany studentów i naukowców pomiędzy US i Polską — do czego rząd komunistyczny zachęcał i w czym rząd US nie przeszkadzał — stały się dla nich wielką atrakcją. Były pod wieloma względami korzystne. Podnosiły ich *prestige* na własnej uczelni, umożliwiały bezpłatne wakacje w kraju ich pochodzenia i przynosiły dodatkowy dochód, który zawsze był pożądany. Stały się także kością niezgody pomiędzy organizacjami polskimi i niektórymi polsko-amerykańskimi; terenem wzajemnych oskarżeń, ostrych debat na szpaltach prasy, ostracyzmu, nawet pogroźek z wysyłanymi wyrokami śmierci dla „zdrajców”.

Nieporozumienia i wzajemne zwalczania się nie ograniczają się do Polonii i polskiej emigracji. Jest to zjawisko, które występuje u wszystkich grup etnicznych. Ci, którzy z niemalym wysiłkiem urządzili się, zdobyli miejsce w hierarchii społecznej, nie tylko, że będą bronić swego terytorium i nie dopuszczać nowych, ale nieraz będą im pracę utrudniać.

Działacze ze „starej Polonii” odnieśli się do nowoprzybyłych ze współczuciem, ale i z obawą. Łączyło ich dziedzictwo historyczne, ale dzieliło wiele, a przede wszystkim status społeczny. Wkrótce doszło do konfrontacji i wzajemnych oskarżeń. W konfrontacji pokoleń zauważyłam interesujące zjawisko, które nazwałam daltonizmem emigracyjnym.

DALTONIZM EMIGRACYJNY

Daltonizm (ślepotą barwną) jest to niewrażliwość na pewne kolory. Przypuśćmy, że podobna niewrażliwość tylko nie na kolory, a na cechy charakterystyczne, zaistnieje w konfrontacji dwóch emigrantów. Każdy z nich widzi w drugim to i tylko to, co chciałby zobaczyć, a więc obraz niepełny, albo przejęskrawiony i do tego co widzi dostosowuje swój sposób postępowania. Możliwe, że wprowadzenie arbitra, który rozjaśniłby sytuację, pomogłoby w zrozumieniu się przeciwnych stron.

Jednak spokojne wyjaśnianie przyczyn konfliktu jest w środowisku polskim raczej trudne.

Wróćmy do konfrontacji dwóch emigrantów. Emigrant starszy widzi w nowoprzybyłym to, co chce zobaczyć. A chce zobaczyć siebie, swego ojca, matkę lub babkę w pierwszym okresie emigracyjnym. Wzruszenie emocjonalne jest tak silne, że inne cechy nowoprzybyłego bledną. Nie są rejestrowane.

Starszy emigrant nie może w młodszym dostrzec innego człowieka, widzi tylko odbicie samego siebie. Kiedy po pewnym czasie zacznie rozróżniać kolory, czuje się zwykle rozczarowany, a czasem oszukany. Z drugiej strony, nowoprzybyły spodziewa się pomocy i rodzinnego przyjęcia. Jego wyobraźnia o sile Polonii nie została jeszcze zachwiana. Starszy emigrant to „stryjcio z Ameryki”⁶, który wszystko może gdyby tylko chciał. Otrzeźwienie jest szokiem i nieraz prowadzi do zerwania stosunków. W najlepszym razie, skarg na materializm starej Polonii.

Emigracja powojenna, do której należała *Transplanted Family*, była przede wszystkim emigracją niepodległościową. Opuszczenie ojczyzny uważali za zło konieczne. Jechali do Ameryki, aby stąd głosić prawdę o Polsce, kontynuować walkę o niepodległość kraju. Wyjazdy do komunistycznej Polski, i przyjmowanie zaproszeń na przyjęcia do reżymowej ambasady i konsulatów, równało się zdradzie, było bojkotowane.

⁶ Bohater opowiadania *Stryjcio z Ameryki*, [in:] *Asteroidy*, Londyn 1965.

Emigracja starsza, osiadła, oczekiwała od nowoprzybyłych powtórzenia jej własnych, amerykańskich doświadczeń: zaczynania na najniższym szczeblu, ciężkiej fizycznej pracy i stopniowego wspinania się po drabinie społecznej.

Emigracja niepodległościowa oczekiwała, że starsi połączą się z nimi w wysiłku głoszenia prawdy o Polsce i w walce o jej niepodległość.

Chociaż starszy emigrant wzruszał się tragedią kraju swego pochodzenia, czuł się przede wszystkim Amerykaninem. Znaczenie jego w polityce amerykańskiej było znikome, możliwości wpływu na poprawę sytuacji w Polsce ograniczały się do pomocy charytatywnej.

Postawa niepodległościowa „niezlomnych” bojkotowała jakiegokolwiek kontakt z reżymem komunistycznym. Należały do tego wspólnie przeprowadzone badania naukowe Polonii. Emigracja niepodległościowa obawiała się, i jak się okazało słusznie, że obraz jej zostanie w takich badaniach skrzywiony lub pominięty.

Gdyby nie kwestionariusz *Transplanted Family*, który jak podrzucany wiatrem płomień obiegł wszystkie niemal skupiska powojennej emigracji apelując o wzięcie udziału w badaniu, gdyż powinno przynieść w odpowiedziach prawdę o ostatniej emigracji, gdyby nie apel ten podchwycony z entuzjazmem i nadzieją że prawda o nas zostanie, fala emigracji politycznej z lat pięćdziesiątych, jej specjalny charakter pokolenia niepodległościowego roztopiłby się w szerokich badaniach Polonii prowadzonych przez naukowców z Polski i z Ameryki.

POLONIA AMERYKAŃSKA: PRZESZŁOŚĆ I WSPÓŁCZESNOŚĆ. HISTORIA KSIĄŻKI WIDZIANA OCZAMI KRONIKARZA

Prace przygotowawcze do wspólnego przedsięwzięcia badania Polonii, rozpoczęły się w roku 1976 pod redakcją Hieronima Kubiaka ze strony polskiej, Eugeniusza Kusielwicz i Tadeusza Gromady ze strony Polonii amerykańskiej. Książka ta, zbiór esejów wydana przez Ossolineum w roku 1988, umniejsza znaczenie społeczne emigracji niepodległościowej, ograniczając jej wpływ do wprowadzania niepokoju (*tension*) pomiędzy starą Polonią i powojenną emigracją. Opublikowana przez prestiżową Polską Akademię Nauk, *Polonia Amerykańska*, nie mówi całej prawdy o Polonii. Znaczenie emigracji powojennej w podniesieniu statusu Polaka w Stanach Zjednoczonych zostało zupełnie omińnięte. Praca niepodległościowa, która w okresie groźby zniszczenia narodu polskiego osłabionego wojną i okupacją głosiła prawdę o tym co się działo za żelazną kurtyną, została uznana za charakter polityczny emigracji. A przecież niemal każda rodzina przeszczepiona miała kogoś bliskiego w Polsce. Troska więc o prawdę była nie tylko polityczna, ale i społeczna — rodzinna.

O zamierzonym badaniu Polonii przez polsko-polonijny zespół naukowców, dowiedziałam się w październiku 1978. Poniższe są moje zapiski w dzienniku notowane na gorąco:

1 października, 1978, niedziela.

Dziś o 8:30 rano zbudził mnie telefon z Nowego Jorku od Feliksa Grossa, prezydenta Polskiego Instytutu Naukowego. Profesor Gross był zdenerwowany. Od czasu do czasu przerywał swoim pytającym „proszę?” Chodzi o to studium polonijne, które w angielskim brzmi: „Joint Polish and American Study of the Poles in the U.S.”.

Andrzej Ehrenkreutz⁷ (przewodniczący Północno-Amerykańskiego Studium Spraw Polskich), przysłał nam kopię listu E. Kusielewicza (prezydenta Fundacji Kościuszkowskiej) skierowanego do „contributors” w którym oświadcza, między innymi, że „State Department has promised to cover the round trip transportation of the American participants” do Polski.

Andrzej E. przysłał nam również wszystkie „outlines” przyszłych rozdziałów tego studium, które będzie prowadzone pod kierunkiem doc. Hieronima Kubiaka. Sekretariat pracy będzie ulokowany w Polsce. Wydania książki podjęło się Ossolineum. Kościuszeko Foundation też ma przeznaczyć na to trochę pieniędzy.

Wszystko byłoby dobrze, bo potrzebne są studia polonijne i zarejestrowanie ich w historii, ale:

Badanie prowadzi Hieronim Kubiak, silnie związany z partią, a właściwie jej ekspozyturą w Polsce. Praca więc będzie cenzurowana w Polsce.

Emigracja po II wojnie światowej jest już w projekcie książki zminimalizowana, zniekształcona i najzwyczajniej pominięta. Wyjątkiem jest artykuł Stanisława A. Blejwasa „Nowa i stara Polonia, napięcia w społeczności etnicznej”, w którym nielatwe współistnienie przedstawione jest obiektywnie i ze znajomością tematu. Blejwas opiera się między innymi na wynikach badań „Transplanted Family” (Arno Press, 1980).

W projektowanym badaniu doniosła rola historyczna powojennej emigracji, jej myśl niepodległościowa zostaną pominięte.

Wkład kulturalny zostanie przemilczany. Emigracja po II wojnie światowej zostanie wtopiona w okres od roku 1918 do roku 1970. W proponowanym badaniu prawda zostanie ominięta. Jeśli naukowca utożsamiamy z człowiekiem szukającym prawdy, jeśli wierzymy mu historię, najcenniejszy dorobek narodu, jak wytłumaczyć, że prawda o niepodległościowej emigracji polskiej nie zostanie wypowiedziana do końca? Czy możemy tłumaczyć tę tendencję polityką redaktorów, której nikt nie chciał, nie mógł, albo nie uważał za stosowne kwestionować?

Ponieważ zbliża się Dzień Polski w Departamencie Stanu, Andrzej E. prosi, abym w sekcji wymiany kulturalnej jako vice przewodnicząca Rady Studium przygotowała się do zajęcia stanowiska właśnie w tej sprawie omijania, albo (nazwijmy ten manewr) selective inattention.

A teraz wracając do prezydenta Instytutu Naukowego, Feliksa Grossa. Zatelefonowałam do niego i spytałam czy projekt, o którym mówiliśmy w niedzielę jest mu bliżej znany. Zaprzeczył. Nie! Instytut nie bierze w nim udziału.

Ale dr. Tadeusz Gromada, sekretarz Instytutu, jest jednym z trzech redaktorów — powiedziałam.

To jako jednostka. Do Instytutu nikt się nie zgłaszał.

Powiedziałam mu wtedy, że State Department finansuje przeloty do Polski dla uczestników badania Polonii i że Kościuszeko Foundation też zobowiązało się pokryć część kosztów.

Głos prof. Grossa zmienił się. Powiedział:

Książka o Polonii zostaje zrobiona bez udziału Polonii. Więc to prawda, że Departament Stanu finansuje.

Przyślę panu kopię listu.

Czy wydawnictwo będzie cenzurowane w Polsce?

⁷ Andrzej Ehrenkreutz, profesor Near Eastern Studies na Uniwersytecie Michigan w Ann Arbor, gdzie wykładał jako pełny profesor w latach 1967–1987, był w roku 1978 przewodniczącym Studium (The North American Study Center for Polish Affairs) i jednym z jego założycieli w roku 1976. Celem Studium była funkcja doradczą dla Kongresu Polonii. Było nim również rozpowszechnianie międzynarodowych informacji dotyczących praw człowieka w Polsce. W roku 1987 prof. Ehrenkreutz wyemigrował wraz z żoną do Australii.

Tak.

Chcą utracić element niepodległościowy — powiedział Gross.

Z profesorem Feliksem Grossem rozmawiałam po przejrzaniu powyższych notatek 19 września 1998. Przypomniałam mu nasze rozmowy telefoniczne 20 lat temu. Dlaczego — spytałam — nie zaproszono Pana, wybitnego socjologa, do badań Polonii?

Bo ja — powiedział pół żartobliwie — byłem na czarnej liście.

Pytam czy czytał książkę *Polonia Amerykańska*. Nie, nie czytał. Dzielę się z profesorem moją oceną tego wydawnictwa:

Niestety materiał naukowy zawarty w książce nie jest ani kompletny, ani zorganizowany. Studiowanie grup ludzkich bez oparcia o teorie psychologiczne, bez głębszej analizy zmian tożsamości jest niewystarczające. Książka jest zbiorem referatów nie dość połączonych wspólną myślą. Nie ma w niej oryginalnego badania, w którym obok socjologa pracowałby psycholog, historyk, antropolog i psychiatra. Książka ta nie spełnia zapowiedzianego zadania i nie może służyć jako obiektywna, źródłowa informacja o Polonii.

Ambicją zespołu autorów, których myśl i wysiłek złożyły się na ten tom, było stworzenie wielowymiarowej syntezy dziejów i współczesnych przemian Polonii w Stanach Zjednoczonych. Należy pogratulować poszczególnym autorom za ich myśl, wysiłek i heurystyczną wartość ich prac. Należy zastanowić się na czym polegała słabość struktury i pracy edytorskiej, która nie doprowadziła do zamierzonej syntezy. Obecność cenzury, względy polityczne (nieobecność emigracji politycznej) obniżyły wartość naukową książki jako obiektywnego dokumentu. Książka pomimo imponującego zbioru informacji, nie staje się wielowymiarową wiedzą o Polonii jak zapowiedział H. Kubiak w słowie wstępnym. Przeciwnie, może wpłynąć na tworzenie błędnych ocen w analizie rzeczywistości polonijnej.

RODZINA PRZESZCZEPIONA Z PERSPEKTYWY TRZYDZIESTU LAT

Pomysł opracowania eseju pod tym tytułem, długo kielkował w mojej wyobraźni ustępując miejsca „ważniejszym zadaniom”. Kiedy jednak wreszcie powróciłam do krytycznej oceny mojej pracy doktorskiej i okoliczności w których powstawała, temat wciągnął mnie, zainteresował, ale inaczej i w inny sposób. Dotychczasowe moje wypowiedzi związane z tezą ograniczały się do wyliczania faktów statystycznych i wniosków z nich wyciągniętych. Natomiast w eseju z perspektywy 30 lat, ukazują rodzinę przeszczepioną na tle społeczeństwa polskich emigrantów. Zachowanie się emigrantów, ich żywy udział w procesie twórczym, ich wola przełamania negatywnej opinii o Polakach, dopełnia uzyskany w badaniu psycho-społeczny profil rodziny polskiego emigranta.

Wśród wyników badania zwracały uwagę dane dotyczące zmian w tożsamości etnicznej emigranta. Co to jest tożsamość etniczna? Ta spopularyzowana abstrakcja nie zawsze jest właściwie zrozumiana. Tożsamością etniczną nazywam tę grupę cech charakterystycznych tożsamości, która jest spichlerzem wartości i przekazów kulturowych wyniesionych z socjalizacji rodzinnej.

Emigracja niepodległościowa nie poddawała się zmianom. Odrzucała wartości kultury amerykańskiej chociaż wiele z nich przyjmowała podświadomie. Na pytanie ankiety dotyczące oceny własnej tożsamości, 79% respondentów odpowiedziało, że czuje się przede wszystkim Polakami. Było to 20 lat po wojnie i zmiany w tożsamości, aczkolwiek podświadome, musiały nastąpić. Zaciekły upór trwania przy symbolach wydaje się być jedną z najbardziej charakterystycznych cech Polaka. Nie tylko urodzonego w Polsce, ale i Amerykanina wywodzącego się z polskiego dziedzictwa.

Do badania zmian tożsamości podchodziłam z różnych stron. Szukałam jakie warunki, wpływy, stopień wykształcenia, wiek, płeć, długość pobytu w Ameryce decydują o tym czy emigrant czuje się przede wszystkim Polakiem czy Amerykaninem. Z podziału tego jednak nie byłam zadowolona. Był ograniczający i sztuczny. Wykluczał potencjał działania emigranta, który po szoku zmiany i kryzysach przystosowania się, powinien zmanifestować się w akcie twórczym. Dopiero następne lata badań klinicznych i koncentracja na tożsamości i wartościach wprowadziły mnie na trop fenomenu, który nazwałam Trzecią Wartością. Pojęcie trzeciej wartości zapożyczyłam od Jana Łukaszewicza, jednego z najwybitniejszych logików XX wieku. Jego trzywartościowy system logiczny oparty jest na nie arystotelesowskim sposobie myślenia. Łukaszewicz twierdzi, że oprócz propozycji, prawdziwej i nie prawdziwej, istnieje trzecia, która nie reprezentuje ani pierwszej ani drugiej, ale jest niezależną trzecią wartością, rezultatem twórczej, ludzkiej energii, odpowiedzią na potrzeby ewolucji, dostosowaniem się do wymagań nowej sytuacji. Następne moje badania (przeprowadziłam ich siedem na przestrzeni 24 lat otrzymując informacje ankietowe od około 4000 osób)⁸ wykazują stopniowy wzrost tożsamości polsko-amerykańskiej. Możliwe, że rozwija się nowa forma identyfikacji etnicznej, a zmieniająca się struktura tożsamości staje się źródłem nowej energii. Emigrant nie odrzuca swego polskiego dziedzictwa, a legitymując się Polish-American zaznacza jego ważność. Jest to wypowiedzenie się poprzez trzecią wartość, która nie jest oznaką podwójności, ale rezultatem interakcji czynników, które dadzą wynik inny niż suma ich oddzielnych działań.

W roku 1970 przeprowadzając badanie *Transplanted Family* nie byłam gotowa, aby ten najbardziej intymny problem emigranta zobaczyć przez pryzmat trzeciej wartości. Nie byli też na te rozważania gotowi moi respondenci, gdyż trzecia wartość rozwija się bardzo wolno i wymaga uniezależnienia się jednostki od przewodnictwa grupy. A to dla emigranta wychowanego w kulturze polskiej jest trudne do przyjęcia.

Bask Lane, 9 grudnia 1998.

⁸ Sprawozdania z tych badań i artykuły na nich oparte (w języku polskim) zebrane są w książkach: *Trzecia Wartość*. Lublin 1995; *Emigranci polscy w USA*. Lublin 1991. Wśród opracowań w jęz. angielskim na uwagę zasługują: *Ethnic Identity and the Polish Immigrant in America*, *Migration World* 1988, vol. XVI nr 4/5, s. 25–27; *The Unknown Polish Immigrant*, *Migration World* 1989, vol. XXVII nr 2, s. 24–30; *Family Mental Health in Pluralistic Society*, *Social Thought*, Catholic University of America 1978, vol. IV nr 2, s. 21–31; *Uprootment and Anxiety*, *The International Journal of Mental Health* 1976 nr 5; *In Search of Oneself: From the Concept of Ethnic Identity to the Idea of the Third Value*, [in:] *The Polish Diaspora*, vol. II, New York, Columbia Univ. Press, 1993.